PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 1. Warszawa, 3 stycznia 1914. Widok 3.

Po latach dziesięciu.

I.

Jakkolwiek czujny kładlibyśmy nacisk na ciągłość czasu, na nierozdzielność trwania, przyznać jednak musimy, że czas też posiada swoje miedze, też ma swoje graniczne kopce. To prawda, że granice te istnieją w nas, nie zaś poza nami: uwydatniają się linjami naszych wydatnych czynów, naszych przełomowych uczuć. Czas metafizyczny jest, być może, szczerym *bergsonistą*: nie zna podziałów na okresy. Czas atoli historyczny, czas będący zdarzeń dziejowych osnową, jest wyznawcą filozofji *kartezjańskiej*: wszystko odmierza, wszystko dzieli na części. W historji, jak w olbrzymiej księdze, odcinają się karty białe od czerwonych, karty ogniste od czarnych. W historji biją wyraźne godziny. Tylko, że nie zawsze dźwięk ich słyszymy natychmiast po uderzeniu: zdarza się, że ich siłę rozpoznajemy dopiero z głębokości echa.

II.

Gdy przed półwiekiem z górą, w pamiętną noc styczniową, garść młodzieży opuszczała Warszawę, by kości swe rozsiać po leśnych, bezimiennych mogiłach, nierychło dosłyszano, jak straszna, jak cmentarna dla kraju uderzyła owej nocy godzina. Już dwa miesiące lała się krew na polach, a w Warszawie myślano, że to przekorny bolesny żart rozgrywa się za plecyma Margrabiego!

Gdy w roku 1904 generał japoński przekraczał rzekę Jalu, nie odrazu również spostrzeżono, że w chwili tej bije dla nas godzina, która echo tamtej cmentarnej godziny przezwycięży i zatrze. Być może, iż żywot nasz, w obecnych warunkach, żywot nasz jako narodu, jest żywotem więziennym, nie jest jednak bytowaniem w grobie: czujemy krępy na rękach; ale, przecież, nie czujemy wieka trumiennego nad głową. Czujemy się niewoleni: nie czujemy się przecież zabici! Przyszłość nasza w chwili obecnej nie przedstawia się różowo; wszelako już nie lękamy się przyszłości. Nie jesteśmy już tym narodem w rozpaczy skamieniałym na grobach własnych, na grobach, które po roku 64 wydały się ojcom naszym jedyną rzeczywistością, jedyną puścizną wierną. Życie polskie z głębiny lochów wykipiało na powierzchnię ziemi: trzeba było aż tak wielkiej, wrącej lawy entuzjazmu, jaka trysnęła z roku 1904, aby zagładzić wzgórza i wklęsłości mogił powstańczych z przed lat czterdziestu.

Od owej chwili upłynęło lat dziesięć.



III.

Minęło lat dziesięć: tyle, ile trzeba, aby pacholęctwo zmieniło się w młodość, aby młodość przeszła w wiek męzki. Lat dziesięć: niewiele! Okres napozór zbyt mały, aby go starczyło na jeden rozdział w historji. A jednak, wbrew uroszczeniu chronologji, pewne wymowne znamiona zdają się wskazy-

wać, że żyjemy... w nowym rozdziale historji. Skończyło się coś, co korzeniem swym tkwiło w roku 1904.

Zda się — gdyby wytężyć słuch — moglibyśmy pochwycić ginące na widnokręgu echo godziny, która świeżo nad krajem naszym wybiła.

Cóż godzina owa swym dźwiękiem obwieszcza? Jaką nam niesie zapowiedź?

IV.

Trudno jest w całej rozciągłości objąć krajobraz zmiany, która się w oczach naszych dokonała. Aczkolwiek jednak mogą, zachodzić spory co do istoty przeobrażenia, samo przeobrażenie nie ulega wątpliwości. Świadectwo dają mu ludzie, i świadectwo dają mu rzeczy. Z jednej strony wykwit i niesłychany w roku ostatnim rozrost na gruncie galicyjskim organizacji, dążących do radykalnego usamodzielnienia polityki polskiej, z drugiej strony spostrzeżenia i odczucia jednostek wybitnych, stwierdzające w życiu zbiorowym Polski nowy ton duchowy: wszystko to dowodzi, że do drzwi naszych puka, w progi nasze wstępuje — nowa era.

Aleksander Świętochowski, który był jednym z pierwszych sygnalizatorów zjawiska, sformułował w doraźnych terminach istotę przemiany, i ponieważ ujmował ją na tle przeszłości, sformułował ją w terminach negatywnych. Okres, który chwila obecna przed nami otwiera, to, według niego, okres zagaśnięcia wiary w ostatnie gwiazdy, z którymi łączyliśmy nadzieję lepszej przyszłości, okres, w którym pozostaniemy sam na sam z własnym losem.

Wyłączono z granic Królestwa Polskiego Chełmszczyznę, i — oto prysła wiara nasza w rozwój parlamentaryzmu rosyjskiego!

Wydali nam wojnę Żydzi, i — prysnęła wiara w asymilację semitów!

Zdradzili nas na Śląsku socjal-demokraci niemieccy: jakże wierzyć w wyzwalającą siłę haseł międzynarodowych?...

Istotnie: ostatnie prysły złudzenia. Rodzi się pytanie ostateczne: Czy naród zniesie straszliwą prawdę swojej doli? Czy się nie ugnie? Czy stawi czoło bezlitosnej rzeczywistości? Czy zdoła żyć bez złudzeń?

V.

Lecz to, co dzisiaj rozleciało się w proch jako złudzenie, to przed laty dziesięciu było rzeczywistością; tętniło wówczas żywą krwią wiary w programach całego szeregu stronnictw politycznych, które, bez wyjątku niemal, pod czarem zorzy, świtającej nad Rosją, stanęły na gruncie autonomji Królestwa Polskiego, na gruncie zaufania do sił ewolucyjnych postępu rosyjskiego i wiary w możność zharmonizowania rozległych i wielorakich interesów pod egidą równego dla wszystkich prawa i równej powinności.

Programy partyjne przetrwały do dnia dzisiejszego, lecz krew dawnej wiary wyschła w nich doszczętnie. Programy te, rozwidleniami swych paragrafów, odartych z ciała, sterczą nakształt szkieletów, albo raczej nakształt konarów suchych, na których zazielenić się nie może żaden listek życia.

I tu docieramy do owego dna, o które w chwili obecnej, zda się, uderzyliśmy stopami, aby odbić się odeń i wraz z falą wypadków ponownie ruchem obwrotnym unieść się ku górze.

Stanęliśmy u granic rozkładu życia partyjnego w Królestwie, życia ujętego w te formy jakie skrystalizowały się w latach 1904 — 1906.

Partje polityczne w Królestwie, ongi czynne i potężne, pozostają w zaniku: bądź uległy rozbiciu, bądź popadły w zwyrodnienie i, bądź wreszcie — zasnęły.

I ponieważ życie partyjne wygasło, więc również zapaść musiała się i ta w kraju partja, która na ruchu stronnictw opozycyjnych pasorzytowała: Narodowa Demokracja. Gdy drzewo schnie, jemioła usycha z drzewem. Narodowa demokracja wybujała na glebie zbożnego strachu przed siłami rewolucji. Powielekroć udawała się do Petersburga z propozycją okiełznania rewolucji w Polsce w zamian za okruch władzy biurokratycznej. Chwilami blizka była dobicia targu. Bywało to wówczas, gdy powódź powszechnego ruchu bryzgała pianą szaleństwa aż hen! w okna struchlałych królewiąt. Ale zaledwie powódź opadła i biurokracja spełna odzyskała siłę, nieproszony sojusznik odegnany został precz z przed

progów pałacowych, jako obelżywy świadek i powiernik upokarzającej słabości.

Narodowa Demokracja dziś reklamować może dowoli cenne trunki Szustowa i cenniejszą nad nie wiedzę ks. Pranajtysa: jej karta polityczna jest zamknięta równie, jak karta innych stronnictw politycznych.

VI.

Kto dziś ma w piersiach ogień wielkiego entuzjazmu politycznego, ten ognia swego nie spali na ołtarzu partyjnym.

Otóż, gdy w polityce dzisiaj zdziałać coś mogą jedynie ludzie wielkim przejęci entuzjazmem, na ołtarzach tymczasem partyjnych płonąć mogą jedynie drobne płomyki.

Polityka, w rzetelnym słowa znaczeniu, poczyna się dzisiaj dopiero tam, gdzie kończą się kompromisy. Tymczasem w kompromisy zabrnęły wszystkie stronnictwa. Czyż nie są w obecnych warunkach kompromisem nawet programy autonomiczne? Kompromisem tym bardziej niedorzecznym, że niewysłuchanym, po tamtej stronie? Czyż nie jest kompromisem polski mandat Jagiełły, podarowany robotnikowi polskiemu przed giełdę żydowską?

Dla zawarcia kompromisu można poświęcić rubla; można poświęcić dzień pracy: nikt atoli nie złoży dlań w ofierze życia, nie odda duszy.

Duszę poświęcić można tylko na służbę wielkiej, nieprzejednanej, nad wszystko w świecie wytęsknionej idei. Śmierć ponieść można tylko dla rzeczy nieśmiertelnej.

Partje zaś nasze są gorzej niż śmiertelne. Są przeważnie już napół martwe.

Nieśmiertelnością naszą może być tylko — stojący ponad partjami naród.

Wielką, godną wielkich ofiar ideą tylko— odrodzenie narodu.

Echa Prawdy.

I. Brońmy się sami. — II. Za dużo zwierząt! — III. Zagadka *Słowa*.

I. Wiadomo, że własność miejska w Polsce w znacznej bardzo mierze jest już w posiadaniu Żydów; niemiłe to zjawisko, którego ziomkowie nasi w Galicji dostrzec nie chcą lub nie mogą, u nas w porę jeszcze zostało spostrzeżone. Ze strony polskiej zarysowała się akcja obronna, naogół dość skuteczna. Doraźnym i niezbyt fortunnym krokiem był wniosek Tow. Kredytowego m. Warszawy, gdzie domagano się stworzenia kurji żydowskiej, chcąc tym sposobem odwrócić, a raczej zakryć niebezpieczeństwo. Wniosek nie był fortunny przedewszystkiem dlatego, że wytwarzal fikcję przewagi po stronie polskiej, tam, gdzie w rzeczy samej rozwijać się mogła swobodnie i potężnieć przewaga żydowska. Nie był fortunny również dlatego, że liczył na pomoc ze strony, skąd ta pomoc nadejść nie mogła.

Jakoż wniosek, o którym mowa, spotkał się z odmową sfer miarodajnych, a w motywach odmowy czytamy wyraźnie, że przewaga ludności polskiej nad żydowską bynajmniej nie leży w interesie rządu. System ograniczeń kurjalnych tego rodzaju istnieje w Rosji, np. w Odesie, lecz Odesa — to nie Warszawa... Jużcić dobrze się stało, że nazbyt naiwnym radcom kredytowym udzielono tej surowej lekcji... geografji. Niechże wiedzą na przyszłość, że liczyć na żadną opiekę czy pomoc z tej strory *niewolno*; niechże nauczą się wreszcie liczyć tylko na siebie.

Doświadczenie było więc pożyteczne: niejednemu otworzyło oczy...

W obozie żydowskim i żydopolskim cieszono się z porażki «Amanów» niezwykle powściągliwie. Żydzi, którzy dotąd liczyli wyłącznie na siebie tudzież na «humanitaryzm» co naiwniejszych Polaków, przekonali się wprawdzie, co było miłą niespodzianką, że liczyć mogą nadto na «bezstronność» sfer miarodajnych.

Trapi ich wszakże pytanie, co powiedzą na to pewni Don Kichoci, którzy dotąd kruszyli kopje o niewinność żydowskiej Dulcynei, a teraz chyba zawieszą broń na kołku, bo przecież lepiej i skuteczniej czyni to — ktoś inny... Ktoś, co przemawia grzmiącym głosem dekretów.

Kto wie zresztą, czy ten nowy, niespodziany sukurs nie zdeprecjonuje do reszty w oczach żydostwa dotychczasowych nieudolnych orędowników, których każdy krok, zamiast łagodzić, właśnie pogłębiał i jątrzył nastroje przeciwżydowskie... Dalibóg, trudno będzie obrońcom niewinnej Dulcynei wytrwać na stanowisku.

Humanitaryzm zasie papierowy i dźwięcznym operujący frazesem nie będzie się chyba mierzył z «humanitaryzmem» rzeczowym — sfer miarodajnych.

II. Z pośród różnych projektów, rzuconych na miasto w czas noworoczny, wyłania się znów, jak latający Holender, projest wielkiego zwierzyńca. Miłośnicy zwierząt w Warszawie mają chyba trosk niewiele, skoro tak bardzo im dolega brak miejscowej menażerji.

Aleć chyba nie rozejrzeli się dobrze po kraju: istna arka Noego!

Dosyć mamy dokoła wszelakiej przebogatej fauny. Roi się to, skacze, pełza, węszy, porykuje...

Los naspędzał tu zewsząd stada rozmaitych bestyj. W zeszłym roku przybyło do nas kilka tysięcy hyjen prosto z Argentyny, gdzie drakońskie wyroki ścigają handel żywym towarem. Hyjenom tu dobrze, bezpiecznie: snują się po ulicach w futrach bobrowych, z brylantami na łapach. Snują się też hałaśliwe stada wilków, dzików, szakali, tygrysów, lampartów; wszystko to ciągnie do nas ze Wschodu, z Północy, z Zachodu. za łatwym i pożywnym żerem. Wyjce, pawiany, leniwce drą się i swarzą bez końca w nieprzebitym gąszczu naszej ciemnoty i nędzy; śmierdziele wałęsają się po kraju, zwiastując swą bliskość nieznośuym fetorem. Po synekurach wylegują się krokodyle z zapłakanymi rzewnie oczami i wiecznie rozwartą paszczą; drapieżne, z obcych stron rekiny łykają nasz dorobek wielkimi kęsami. Piskorze wywijają się raźnie z ok nastawionych sieci kodeksu karnego; potworne ośmiornice i mątwy oplatają swoje ofiary długimi chwytnymi mackami; sprośne a przebiegłe wieprze ryją po śmietnikach, znajdując tam perły... A oto mnogie stada lisów z pyskami wysłanymi puchem świeżo pobitego ptactwa; rysiów o ponurym spojrzeniu mordercy; łasic, kun, i tchórzów z minami notorycznych szubrawców; wyżłów, kundlów i chartów, pilne czyniących przeszpiegi — nie! jak świat światem nie było nigdzie tak bogatej, wszechstronnej, kompletnej menażerji.

— Za wiele zwierząt, moi panowie! — rzekłby z pewnością Kalchas, gdyby przyszli pytać go o radę warszawscy przedsiębiorcy, którym tak się zachciało menażerji.

III. Jak wiadomo, w obozie żydowskim wre od pewnego czasu praca nad zwiększeniem stanu posiadania, nieco uszczuplonego przez bojkot.

Niektórzy działacze żydopolscy każą nam patrzeć na tą krzątaninę okiem życzliwym. Są i tacy, co domagają się nawet pomocy czynnej ze strony Polaków, obiecując, że właśnie Żydzi już »uprzemysłowieni« i opływający w dostatki, pokwapią się opuścić kraj, ustępując miejsca ludności rdzennej.

W tym duchu perorował w № 283 *Słowa* w r. z. niejaki p. Anatol Mühlstein. Naczelny orgnn realistów opatrzył jego wywody następującą uwagą:

«Artykuł poniższy nadesłał nam pisarz, który wielokrotnie zabierał głos w sprawach żydowsko-polskich w prasie paryskiej i warszawskiej. Ciekawe wywody jego podajemy tu bez zmiany i uwag. Ale do ważnej tej kwestji wrócimy jeszcze».

W № 288 *Słowa* znalazła się nadesłana również odpowiedź p. L. Brunna, który zaznaczył, że p. Mühlstein składa przyrzeczenia conajmniej nieopatrzne w imieniu Żydów, do których głos jego wcale nie dochodzi...

Redakcja *Słowa* poprzestała i tu na komentarzu tej treści:

«W sprawie poruszonej przez Mühlsteina otrzymaliśmy głos poniższy, poruszający sprawę tę z innej strony. W imię bezstronności drukujemy wywody p. Brunna, poczem zabierzemy głos i oświetlimy rzecz z własnego punktu widzenia, omawiając oba głosy».

Działo się to w październiku z. r. Od tej chwili minęło półtrzecia miesiąca: *Słowo* nie kwapi się jakoś z oświetleniem rzeczy z własnego punktu widzenia.

A czas nagli. Zwlekając z wyłożeniem poglądu swego na kwestję najważniejszą w naszym życiu wewnętrznym, *Słowo* ściąga na siebie z różnych stron domysły i podejrzenia, których nie chcielibyśmy podzielać.

Czemu więc *Słowo* milczy? Czyżby chciało poprzestać na zadaniu czytelnikom swoim zagadki, której rozwiązanie pozostawiono każdemu z osobna?

Może i to być. W każdym razie byłoby dobrze, gdyby Redakcja *Słowa* podała właściwe rozwiązanie w ciągu najbliższego czasu...

ADR. SOFF.

Skry.

Czy to, co zowiemy Ideałem, nie jest w gruncie tęsknotą za urzeczywistnieniem osobowości, utajonej w każdym z nas, jako potęga i możliwość?

K. ŻYCKI.

Szkoła korupcji.

Skandal polityczny, jaki się rozegrał w ostatnich tygodniach roku ubiegłego w łonie ,Koła Polskiego we Wiedniu, głośnym echem odbił aię o uszy całej prasy Królestwa.

Niefortunnym bohaterem chwili stał się przywódca najpotężniejszego stronnictwa politycznego w Galicji, Jan Stapiński, oraz jego były towarzysz broni i były minister, «excellencja» Długosz.

Niemal wszystkie wiadomości tej głośnej, a zarazem «senzacyjnej» afery dotyczące, jakie się przez kordon przedostały, zabarwione są wyraźną nienawiścią do «wstrętnego demagoga», «agenta emigracyjnego».

Po przez błyskawice oburzenia na haniebne występki, jakich się miał Stapiński dopuścić, przezierała jednak nie ukrywana radość z wypadku, który pozwolił pieścić się nadzieją ostatecznego zmiażdżenia niebezpiecznego «szkodnika».

Zjazd Rady naczelnej P. S. L. w Rzeszowie rozproszył w znacznej mierze ułudne sny o tryumfie nad powalonym przeciwnikiem. Stapiński bowiem, którego już miano za nieboszczyka — to gracz nielada!

Sam wyszedł ze sfery chłopskiej i od osiemnastego roku życia, początkowo jako agitator Stojałowskiego, następnie zaś jako organizator i samodzielny kierownik mas chłopskich, obcował bezpośrednio z ludem, jego wady i słabości coraz lepiej poznawał, aż wreszcie doszedł do mistrzostwa w panowaniu nad zbiorowym instynktem masy.

To też kiedy wszyscy byli przekonani, że końce sieci, oplątującej znienawidzonego polityka dostatecznie się już zbliżyły, i o ratunku dla ofiary mowy być nie może, jeden Stapiński nie tracił nadziei, chociaż czuł, że to może ostatnia jego walka, walka na śmierć i życie ze strasznym, bo wypielęgnowanym przez siebie wrogiem.

Postawił wszystko na kartę — wobec dział wielkiego kalibru, kierowanych wprawną ręką Długosza, Reya i innych, Stapiński postanowił być tylko szczerym.

W obliczu stu kilkudziesięciu ludzi, stanowiących Radę Naczelną stronnictwa i pilnie nasłuchującej opinji publicznej całej Polski, Stapiński rozkrzyżował ręce i ze szczerością, graniczącą z bezwiednym cynizmem, opowiedział dzieje swego stronnictwa, swój stosunek do centralnego rządu, przyznał się do szeregu kompromisów, spółek niegodnych z brudnymi sojusznikami i handlu pozyskanym przez się wpływem politycznym.

Po uroczystej spowiedzi nastąpił wreszcie akt skruchy i... przyrzeczenie poprawy jak u krat konfesjonału.

Jedno tylko przytoczył na swoją obronę — fakt, że cokolwiek i gdziekolwiek brał, obracał na cele stronnictwa — na pokrycie związanych z czynną polityką wydatków, swoje potrzeby ograniczając do niezbędnego minimum.

Znajomość duszy chłopskiej i tym razem nie zawiodła, — Stapiński odniósł świetne zwycięztwo — nie tylko uzyskał votum zaufania, ale, co więcej, wróg jego, Długosz, został ze stronnictwa usunięty. Zaledwo siedemnastu członków Rady pozostało przy zwyciężonym!

***

Już przed trzema laty zajęliśmy względem działalności Stapińskiego stanowisko krytyczne; sojusze przezeń wówczas zawierane, jego konszachty z «konserwą», jego łamańce polityczne, osłaniane tajemniczością «wyższej racji stanu», budziły w nas niepokój o losy ruchu ludowego w Galicji.

Wskazywaliśmy wówczas, że budząca się do życia masa ludowa, pod groźbą zwyrodnienia, musi budować swą przyszłość na twardym fundamencie ideowym.

Trwożne przewidywania nasze, niestety, sprawdziły się aż nazbyt rychło.

Stapiński miast pracą wytrwałą budować gmach przyszłości ludowej od dołu, pokusił się o nazbyt niebezpieczne «laury» u góry.

Nazbyt szybko biegł po władzę, i — wskutek tego — musiał wytworzyć się pewien dystans próżni i kłamstwa między nim a jego przyrodzoną podstawą — ludem.

Dziś za kłamstwo to poniósł karę.

Wszelako karę straszliwszą, niż on, ponieśli ci, którzy go sądzić chcieli. Pod okrutniejszym pręgierzem stanęli ci panowie z foteli ministerjalnych i ci z ław poselskich, którzy na Radę do Rzeszewa zjechali z wyrokiem potępienia gotowym w zanadrzu. Przypaleni gorącym żelazem szczerości nieoczekiwanej, morderczej i nieodpartej, syczeć musieli z bólu, jak żmije deptane obcasem, gdy Stapiński, odrywając sople błota, przyschłe do jego karjery politycznej, zamieniał je w pociski i rzucał w twarz swoim oskarżycielom:

— Jestem brudny, albowiem ściskałem wam ręce! Jestem zszargany, albowiem wstąpiłem między was! Brzydzę się sobą, albowiem niedawno szczycić się musiałem waszą przyjaźnią. Pali mnie czoło, albowiem korzystać musiałem z waszych dobrodziejstw! Czu-

ję się zadżumionym, albowiem połknąłem wasz zatruty... uśmiech! Czuję się spodlonym, albowiem wyście mnie podnieść chcieli ku sobie!...

***

W tym wybuchu szczerości było coś więcej niźli spowiedź publiczna jednego człowieka: to straszną, zwierzęcą skargą zawyło sumienie ludu polskiego, sumienie ludu latami znieprawiane w odwiecznej szkole klerykalno obszarniczej korupcji!

CZESŁAW JANKOWSKI.

Osaczeni.

Z CYKLU: «WSKAZANIA».

Ciężka i niezmiernie skomplikowana walka o byt przypadła w udziale narodowi polskiemu. Nie bronią nas żadne „przyrodzone granice", w rodzaju Alp, Pirenejów, mórz, pustynnych nie do przebycia przestrzeni. Tem mniej bronią nas ostrokoły fortec lub stratagiczne linje wojsk, których sam widok respekt budzi. Wszędzie na świecie siedziby narodu naszego otwarte są na wszystkie strony — a naciskane są zewsząd.

Wszędzie z zawiścią spoglądają inne narodowości na nasz, tak już przecie niepokaźny, stan posiadania, oraz na naszą, jaką taką jeszcze zdolność zarabiania na chleb powszedni przy współczesnych wielolicznych warsztatach pracy, jak niemniej na naszą zdolność utrzymywania się bodaj przy minimalnej roli wśród społeczeństw cywilizowanych. Narodów nie łączy żaden braterski sentyment; przeciwnie, radeby jeden drugiego utopić, jeżeli nie w szklance wody, to w pierwszem lepszem morzu; wszelako wielkie narody, nie mogąc wzajemnie siebie pochłonąć, podtrzymują siebie wzajemnie—w pewnych momentach historycznych, przy zbiegu pewnych okoliczności; wchodzą z sobą w aljans, ustanawiają te lub owe „wspólne interesy"; innym znowuż razem zdaje się im, całkiem szczerze, że istnienie danego narodu potrzebne jest dla międzynarodowej „równowagi". Bywa też, że istnienie nawet mikroskopijnego narodu poczytywane jest za wręcz niezbędne dla... utrzymania *in statu quo* świętej zgody między potężnemi narodowemi zrzeszeniami, dlatego, aby wyszedłszy z „równowagi", nie rzuciły się na siebie, wyrządzając sobie ciężką krzywdę, którejby, niestety, żadne zwycięztwa, żadne trofea i łupy, nie powetowały. Wszelako co do narodu polskiego, to od chwili rozbioru historycznej Polski, nie jest on nikomu na świecie — potrzebny. Przeciwnie, zdaje się wszystkim zawadzać. Zawadza tembardziej, że nie zaliczyć narodu polskiego do narodów mikroskopijnych, albo do siedzących gdzieś, w jakimś kącie Europy, jak Portugalczycy lub Grecy. Nie! Naród polski, jak na domiar nieszczęścia, leży na jednym z pryncypalnych placów Europy; jakby u jednego z najgłówniejszych traktów publicznych.

Leży... żyje... spożytkowuje dla własnych (słyszycie!) potrzeb wydajność sporych, bardzo nawet sporych obszarów i pozuje na „obywatela" cywilizowanego świata! Nietylko zawadzający jest, niepotrzebny, „pasożytniczy", ale — irytujący!

Wprawdzie Polacy nie mają cech plemiennych, tak ogólnie niemiłych, aby nie wyrazić się: wstrętnych dla ludów aryjskich, jak... Żydzi, ale zaczynają być równie, jak oni — zawadzający. I Polacy też mieli „Palestynę" swoją; a bynajmniej nie gdzieś za morzami. A gdy zgruchotano ich własność państwową, niezależną, Polacy nie rozpryśli się na świat cały, jak Żydzi dźgnięci w palestyńskie pra-gniazdo, lecz próbowali pozostać w granicach odwiecznej „osiadłości". Aliści zwolna jęli odrywać się od „ojczystego" gruntu... Zaczęli powoli szukać szczęścia i chleba najpierw w szerokiem promieniu b. Rzeczypospolitej, potem zaś coraz dalej, dalej. Aż oto i świat niemal cały usiany został Polakami. Mniejsza jednak o te garście Polaków rozrzucone po trosze wszędzie i nie brużdżące, przyznać trzeba, społeczeństwom i państwom, co schronienie im dały. Ale... co począć z jądrem polskiego narodu wciąż jeszcze tkwiącem między Baltykiem a Karpatami?

Kto wie, czy nie trudniejsza to sprawa, niż ozwiązanie (również między Baltykiem a Karpatami) kwestji... żydowskiej.

Co począć z Polakami?

Rzecz prosta, że trzem potężnym państwom, które dokonały rozbioru b. Rzeczypospolitej i zagarnęły w granice swoje każde mniejszą lub większą część narodu polskiego, nasunęła się w odpowiedzi na to pytanie „najprostsza" idea. Stłumić wszelkie ewentualne wybuchy buntownicze, następnie zaś wynarodowić i wtopić bez śladu Polaków w naród z jednej strony rosyjski, z drugiej w niemiecki. A jeżeli nie zechcą poddać się tej „ewolucji" mającej za sobą zarówno rację stanu, jak własne „dobro" Polaków, tedy opornych, tą lub ową metodą, temi lub owemi sposobami — wytępić. *Ausrotten!* jak brzmi odnośne przykazanie w niemieckim programie politycznym.

Und bist du nicht willig, so brauch' ich Gewalt!

— jak po wyczerpaniu wszystkich pokus i obiecanek, grozi Erlkönig.

***

Wiele się mówi i pisze o niemożliwości wynarodowienia całego narodu posiadającego zarówno przeszłość historyczną, jak własną kulturę. Pomimo średniowiecznych *auto-da-fe* i nowoczesnych „pogromów“, pomimo najpomysłowszej oraz najrzyjemniejszej asymilacji, stosowanej umiejętnie, a przyjmowanej, bywało, nawet bardzo skwapliwie, czyliż przestali istnieć na świecie Bożym — Żydzi? Żydzi *pur sang* ze wszystkiemi właściwościami rasy i cech narodowych? Zostało ich wielu, nieskończenie wielu, powiedzmy śmiało: zostały całe tłumy. A czy wynarodowiono i wytępiono naród czeski? Nie. Ścięty pień narodu czeskiego puścił — po wielu, wielu latach — świeże pędy i szumi dziś naród czeski, jak potężny bór. Wprawdzie gdzież dziś ślad Azteków, Jadźwingów lub Sasów z czasów Karola Wielkiego? Ale chybaż wolno zauważyć, że kompletne te zagłady stały się w czasach zgoła innych niż obecne, w innych zgoła warunkuch niż dzisiejsze, w atmosferze całkiem innego „ducha czasu“, niż obecna.

Tedy idea załatwienia się z narodem polskim *à la* Fernando Cortez lub Karol Wielki, nie miała nigdy, nie ma i mieć nie będzie realnego gruntu pod sobą, aczkolwiek wyznawców i orędowników dziś jeszcze jej nie braknie.

Zrozumiała niemożebność wynarodowienia Polaków Austrja. Może pod wpływem silnych wstrząśnień fizycznych i moralnych, doznanych pod Königgrätzem i Sadową? Mniejsza. Dość, że zrozumiała. Może organizm państwowy monarchji Habsburgów nie mógł podołać ciężkiemu bądź co bądź zadaniu? Też mniejsza. Dość, że w chwili obecnej, a od dłuższego już czasu, nastawanie niemieckiego żywiołu na żywioł polski w granicach państwa Habsburgów — ustało.

Niech nas jednak zbytnie austrofilstwo nie zbija z tropu. W błyskawicy choćby tylko pamiętnego orędzia cesarza Franciszka Józefa do Rusinów w czerwcu 1912 roku, kto miał oczy do patrzenia, mógł aż nadto dobrze spostrzedz, jak dalece zależne jest stanowisko Polaków w Austrji od konjunktur politycznych habsburskich.

„W roku 1908,—pisał niedawno w *Słowie Polskiem* poseł Zamorski — podczas aneksji Bośni i Hercegowiny utrwalił się plan okrojenia rosyjskich posiadłości w ten sposób, że Prusy miały zająć Królestwo Polskie do linji rzeki Wisły z Warszawą, jako miastem granicznem, według granic ostatniego rozbioru z roku 1795, a Austrja miała zabrać Podole, Bessarabję, dawne województwo bracławskie i oprzeć się o morze Czarne z Odessą, jako trzecim portem wielkim. Ustalony w roku 1908 plan obowiązuje do dnia dzisiejszego“.

Austryjacki ten plan musiał, rzecz prosta, prowadzić prostą drogą do osypywania oznakami osobliwej benewolencji — Rusinów. Trzebaż przecie skarbić sympatję, ba! miłość ... przedniej straży monarchji Habsburgów, przedniej straży, co ma nieść żółto-czarny sztandar na — rosyjską Ukrainę!

Nastaje — albo nastać może — *nowa* orjentacja polityki austrjackiej. Da się za wygraną liczeniu się z Polakami a do godności benjaminków wyniesie się — Rusinów. Dla dogodzenia im, dla zjednania sobie ich serc i ich najgorliwszego udziału w ewentualnej wojnie z Rosją odda się im na niepodzielną własność, tak gorąco pożądaną — wschodnią Galicję. Całą! A niech tam sobie Polacy piszczą i protestują! Dość się ich nagłaskało. Teraz przyszła kolej na Rusinów. Gdy stali się potrzebniejszymi niż Polacy.

W czerwcu 1912 poseł Zamorski wołał: „Nastała chwila przełomowa! Polacy tracą kredyt w monarchji Habsburgów!“

Chwila przełomowa — nie nastała; uspokoiły się wzburzone flukty; wojna austrjacko-rosyjska, jak burzonośna chmura „przeciągnęła bokiem“, właściwie: rozwiała się. Ale — jak się rzekło — w błysku tego, co mogło stać się w 1912 roku, ujrzeliśmy sporo... ewentualności, zagrażających wcale poważnie naszemu obecnemu wyleganiu się na różach w monarchji Habsburgów.

Dorzućmy też gorzkie doświadczenie, którego nie poskąpiło nam zwalenie na Galicję wszystkich strat, które musiała pociągnąć za sobą bezplanowa, nieopatrzna, idjotyczna mobilizacja, rzekomo „w przededniu“ wojny z Rosją. Niedawno, (w *Świecie)* skreślił redaktor *Nowej Reformy* Srokowski treściwy a wręcz przerażający obraz Galicji wyszłej z opałów „wojny bez wojny“, rażonej na dobitkę elementarnemi klęskami. Bankructwa i upadłości, gospodarstwo krajowe nad brzegiem ruiny, redukowanie produkcji i pracy, skarb krajowy pusty, waśń narodowościowa zaogniona... „Wojna bałkańska — pisał delegat instytutu Carnegiego prof. Neurath — wywołała daleko większe spustoszenia w Galicji niż w krajach bezpośrednio wojną dotkniętych“.

Oto na jaką ewentualność narazić mógł — w imię dobra... Habsburgów oraz odwracając klęski od innych państwa prowincji — oto na jaką ewentualność mógł „rząd opiekuńczy“ austrjacki narazić znaczny odłam narodu naszego.

Tak stoi sprawa w Austrji.

Jakże się nam w Niemczech powodzi?

(C. d. n.)

J. KADEN.

Spowiedź.

W mrokach konfesjonału, pod nawałą wyznań, ksiądz Jan chylił głowę coraz niżej, jakby pod przekornym deszczem kwiatów... Płatkami czulszymi od najczulszych ust przypadały mu do skroni, wieńcząc czoło...

Krąg ułudy stawał się coraz cięższy, gęstszy... W wonnych słodkich oplotach tętnice biły głośno, żmudnie — na niewytłómaczoną trwogę...

Uderzenie godziło w serce, rozwierając je na ścieżaj.

Ksiądz Jan krwawą jasnością powiek gasił tęcze swych zapatrzonych w nicość źrenic. I widział swe serce rozgięte jak kielich, przepełnione upojnym sokiem ponęty... Widział je, niby wrota rozdarte, za którymi w ogrodzie kwiatów pędzi burza płomiennego wichru...

W rudą [oddal mkną zwoje czarnych mroków...

Na miedzę kwiecistą wybiegły skoczne pioruny...

I znów gasło to wszystko.

Rzewny nurt spowiedzi płynął wciąż mimo uszu.

Zdało się księdzu na jeden błysk chwili, że to nie słowa drżą w zawiei żalu, przy kracie...

Że mu uszami wypływa krew, uchodzi życie, odbiega duch...

Żywy płomień urojonych róż wkoło skroni nie ugasał, nie wzrastał — trwał niezmiennie, jakgdyby kielich i płat kwiatu lity był z ognia wieczystego...

Ksiądz Jan wzdychał głęboko wielkim westchnieniem niepożytej nabożności: że wieczną Wiarą i Wszechobecnością sycone powietrze ochłodzi, uszlachetni wzburzoną pierś. Porówna wyrwy przepaściste z wzlotami wyżynnymi!...

Zaś słowa, które niby pajęczyna przędły się wkoło — teraz z łopotaniem motylich skrzydeł wpadały w usta.

Ksiądz Jan lekko, ostrożnie ścierał palcami z warg jakiś pył tęczowy i gorzki. Aż zdało mu się, że te wyznania spowiedzi, wydarte z głębi ledwie pąkujących piersi, nieśmiałe, chwiejne, dopominają się u niego i proszą o zadośćuczynienie.

Łaskawie troską pytań oddalał je, lekkim pobłażaniem gasił...

Lub szedł ku nim wyrazami płomieniejącego potępienia. Tak, jakby wszystko ziścić się mogło w słowie. Jedyna pociecha, pomoc, rada — że w nim spełnia się życie...

Nad życiem stróżował tu, panując karą i nagrodą.

Przejęty ufnością wyznań, niemal błogosławił młodocianym grzesznicom, niemal sam się przed nimi z ich win uniewinniał...

Póki nie wyczerpały się zasoby niewinności, a wiedza nie przepełniła miar...

Znikało wówczas panowanie.

Ciągnął przed nim świat rozkosznej, wiosennej przewiny, spłoszony, wdzięczny. Dzika, rzeźka wiosna niecierpliwiła się u krat. Czerwone wargi — motyl pożądliwy — nito skrzydełka pyłkie szumiały długim poszmerem... Leniwa pycha o niebieskim, stalowem spojrzeniu, czarny gniew — żądza, płacząca jasnymi łzami niewinności...

Grzechy tanecznym korowodem stukały o drewnianą kratę konfesjonału, nęcąc, kusząc...

Zdało się chwilami księdzu, że mącą się, trzepią wkoło dziwnie wymowne dusze krwawoskrzydłe... Siekł je brutalnymi pytaniami, odrywał od ziemskiej miazgi — aż omyte z grzechów, jakby na ugorze, zostawały samotne — niesamowite... I nagle skrzydeł pozbawione, traciły wszelki wdzięk...

Zbiegają się do krat przesłodkie rany człeczej lubieży!

W okno stuka radość przeckniona!! Wstęgi słońca i krwi wiążą się niby strumienie!! Świat różową okiścią dobija się, kołacze w serce...

Pobłażał ksiądz Jan tej burzy wiosennej. Pobłażał cierpliwie wyznaniom i przebaczeniu. Wszystko bowiem — rozumiał — staje się i przemija w Słowie... Na lotach swych przeogromnych unosi ono, niczym prochy świetliste, smugi nieśmiałych wywnętrzeń. Spełnia się w Niem grzech do końca i pada w nicość...

Uczennice odchodziły powoli od konfesjonału. Kilka z nich uklękło na stopniach głównego ołtarza pod rozpromienioną chwałą witraży.

Ksiądz Jan w głębinach swej duszy słuchał jeszcze nurtu spowiedzi. Ciche fale trącały się wzajem. Aż ujrzał je, zwarte w łuskę brylantową w postaci srebrnej jaszczurki, pełznące po czarnym torfowisku — tam, gdzie poza prawem obrządku i majestatem świętości, drży gęsta, cierpka pogarda świata.

Zdało się księdzu, że wie już wszystko, że wyczerpał do cna możliwość przemian młodocianych...

Uczennice zatrzymywały się koło spowiednika, pogrążonego w rozmyślaniach, składając na jego ręku blady, bezosobisty pocałunek zbożnych przeprosin. Nie bronił ręki, patrząc z słodkim przerażeniem na uczennice w czar-

nych szatkach, z fioletowymi krzyżami przez piersi.

Młode te osoby słyszał przed chwilą stopione w deszczu pragnącego wyznania. Oto zbożne pocałunki kładą z powrotem pieczęcie odrębności... Dzielą nurt wspólny na łuskę gibkich fal...

Zwidziało się księdzu, że dłoń ciężka od rozgrzeszeń, nabrzmiewa, puchnie — zwolna zmienia się w wilgotną grudę błota.

Uczennice stanęły w zielonym błamie pól, który wypełniał otwarte szeroko drzwi świątyni.

Całą gromadkę jakby zdmuchnął nagle majowy wiatr dalekich łąk. Zgiął je ku ziemi i niczem garść czarnych motyli rozprysły w niebieskiem powietrzu.

Głośny wartki śmiech zadrżał pod ostrem wygięciem wrót.

Wchłonęły go głębokie sklepienia naw.

Żal się zrobiło księdzu, że ustała ta bezwzględna prawda słowa.

Odeszły.

Pod maską imion, nazwisk snuć mogą dalej wiotkie powrósła uczynków... — Słaby śmiech chybotał — zda się — jeszcze w świątyni miotając wielkie oka tęcz na filary.

Ksiądz pogrążył się w zadumie.

Gęstą, ametystową tonią płynęła przed nim stara, kamienna podłoga świątyni. Żal, skrucha wydeptały tu wir tępych blasków i lśnień, niepożyty najgłębszy wir upokorzonej modlitwy. Z toni kamiennej sterczą słupce wyniosłe, ociekające tęczą południa, krwawym płaczem zachodu, zaprzysięgnięte czarnym wątkiem nocy. A na słupcach hardych, niby dogmatem łupane, niebo w kopuły i wnęki umierne.

Ksiądz Jan otworzył drzwiczki konfesjonału i przewiesiwszy stułę przez poręcz, skierował się ku wrotom.

Stanął na progu, rażony jasnością górskiego popołudnia.

Hen, daleko po wyprężonym atłasie niebiosów tańczyły iskry światła, klingi brylantowych sierpów i gwiazdy roztrzepane. Miecze blasku cięły się u skłonów horyzontu, sypiąc opalową kurzawę na białą wstęgę rzeki. Pełzała wartko w popielatej, jakby oksydowanej kołysce zarośli, między górami. Zaś góry, haftowane łanem młodych zbóż, płynęły zieloną grzywą kłosia daleko, aż ku głębokim niebieskim lasom. Czerwone pnie sosen godziły w granatową oćmę gałęzi, rzutem prostych języków ognistych.

Skoczna, niewysłowiona radość tężyła się powszędy, otulając gęste, czarne kępy jałowca srebrną plisą, strzępiąc nad ostrym szczytem lasów błyskawicowe drżenia. Nad tym światem, wyniosłością gór przegiętym, płużyły olbrzymie promienie słońca, niby szerokie, ciche, brylantowe gromy.

Oto pająk — rozumiał ksiądz Jan, patrząc w słońce, — pająk świetlisty!

Wstępując na kamienne schody klasztoru, myślał o drodze tego złotego pająka po nieogarnionych błękitach.

Nagle ksiądz Jan zatrzymał się.

Jakby po twardych stopniach stoczyły się, ujęte w widomą formę przedmiotów wszystkie losy przyszłe tej fali, która płynęła mu dziś przez serce... Sypało się to z góry, z uchylonych odrzwi drewnianych, jak ze skrzyni. Pierścienie, kolje, puszyste wezgłowia tępej rozpusty, losy małżeńskie jak ciężkie sznury, skrwawiony jasieczek położnicy, gładkie perły płaczu, rozbite zwierciadła zawodów, szare, przeżarte potem szkaplerze cnót...

Pojął w tej chwili całą próżnię zabiegów ludzkich. Syty wyznań, litował się, smakując chciwie to gorzkie doświadczenie, którem tuczyły mu serce cudze losy i niedole...

Na progu odepchniętych gwałtownie drzwi stanęła siostra przełożona w białym kwefie, czarnej sukni, z fioletowym krzyżem przez piersi. Szerokie, zwisające rękawy rozpostartych ramion czyniły ją podobną do przedziwnego ptaka o ciężkich skrzydłach.

Ksiądz Jan zdziwił się.

Nie widział jej jeszcze tak gniewnej i wzburzonej. Zacierała teraz ręce, szybko i sucho mnąc w palcach zgrzytliwy, oschły mróz. W jej oczach paliły się głuche, czarne ognie, prószące ziemistemi piętnami na całą twarz. Czarne pręgi biegły z bruzdy czoła, wzdłuż brwi, ku ustom. Ostre, cierniste rysy oblicza wiły się spiesznie, niby wzajem zczepione szpony.

Ze słów przełożonej dowiedział się, że krnąbrna uczennica Stefanja nie chce się spowiadać, że ani groźby, ani prośby nic nie działają, że wszystko rozbija się o karygodny, niewytłómaczony niczem opór.

Słuchał uważnie trzeszczących zgrzytliwie słów. Napełniały go niespodziewaną radością. Słuchając, wodził oczyma po złoto-granatowych lasach oddali. Na niebie jakby się wzmogło życie świateł i blasku. Wysoko, tuż pod straszliwym brylantem słońca, ukazały się polotne rzesze niewinnych, opalowych ust, głoszących nieznaną, niepojętą jakąś chwalbę i nadzieję...

(D. n.)

M.-J. WALEWSKA.
(Hr. Wielopolska).

Nieco o jutrze krytyki.

1)

Żeromski — Miciński — Strug.

Żeromski nie ma właściwie okresu, epoki, ani dnia narodzin, Miciński jest wybitnie poetą porozbiorowym, o sercu zwątpiałem w samoodrodzenie. Powiedziałabym, że tak jak Sienkiewicz zlepił polski żołądek, maszynę trawienia niezbędną — jak Żeromski lepi duszę Polski, Wyspiański jej ciało polityczne, tak Miciński lepi jej ciało astralne — absurd z pozoru najwyżynniejszy — kwadraturę koła, które chce mieć krwią ociekające. Soki żywotne polskie wedle Żeromskiego, są aż nazbyt urodzajne i przemożne — wedle Micińskiego są zgangrenowane, tak że zaiste konieczna jest interwencja Boga czy Lucyfera, ale w szybkość ich interwencji — nawiasem mówiąc — i sam Miciński nie wierzy, mówiąc w Hymnie Banity:

> Lecz długo, Polsko, będziesz się tułała
> wśród głuchych ziomków, dmących w orzech pusty....

Piękność ornamentacyjna tych dwóch kolumn polskiego Panteonu jednaka, ale i tu jest odmienność. W Żeromskim piękno jest nazewnątrz, jak chorągiew w słońcu rozwiana, w Micińskim piękność jest utajona, w barokowem częstokroć cyboryum. Jednak bije serce żywiej, kiedy się podniesie w smoki rzeźbioną nakrywę i spojrzy w dno kielicha, gdzie pieni się rubin, nieśmiertelniejszy niźli krew Januarusowa..... Cud wiecznie się pieniących rubinów i wiecznie cudu spragnionej krwi.

Budowa powieściowa Żeromskiego jest zwyczajna, prosta, zwięzła. Miciński dawałby architekturą swoją pole do mnogoszpaltowych debat krytyce artystycznej, gdyby ta krytyka umiała się zastanawiać i nie leciała jak hiszpańskie toro na rozmaite tylko jaskrawe płachty.

Gdzie pragnęliście zobaczyć Duszę Polską w „Ojcach Naszych" Struga, panowie recenzenci?! W tej książce gdzie jak w Ludziach Podziemnych, tylko o duszy ogólnoludzkiej jest mowa, o nieszczęsnej, rwącej się pracującej z zapartym tchem duszy ogólnoludzkiej?! Dlatego że autor rzucił wam na oczy czerwono-białą płachtę z napisem: Rok 63-ci?!

Chyba w tej noweli ani śladu rysòw narodowościowych, oprócz może w noweli o panu i parobku. W dalszym ciągu zaciekawia Struga problem, jak się dana indywidualność zachowa w zetknięciu z danym wypadkiem. Mniejsza o to, czy te wypadki związane są z rokiem 63-im, czy 12-ym, czy 31-ym, chodzi o kontakt takiej a takiej duszy z takiem a takiem zdarzeniem, byle zdarzenie owo wymagało jaknajsilniejszego napięcia uczuć ludzkich, ludzkich właściwości, słabostek czy heroizmu.

Twórczość Struga narodziła się wśród grzmotów rewolucji, wśród szczęku broni i haseł śmiertelnych, więc zdaje się on nie rozumieć tła mniej gniewnego, mniej elektrycznością i piorunami naładowanego — bladego tła codziennych zdarzeń.

Heroizmu nie żądając prawie wcale, twórczość Struga passyonuje się do widoku, jak pospolity mały człeczyna, chwyta za bary potęgę niezmierzonego zadania i patrzy jak występują na płaszczyznie jego ducha, sine, nabrzmiałe guzy wytężeń, przerażeń i udręki. W „Ojcach Naszych" Strug uważa powstanie styczniowe za lawinę jakąś, w której ruszeniu z miejsca i miotaniu się ludzie nie brali udziału. Tak samo traktował rewolucję 1905-ego roku, której Kora jest słodkim, zahukanym, bezwolnym wyrazem. Ruszyła lawina sama, oderwana od potwornych gzymsów, zgubionych w chmurze gradowej i ogromem swoim przygniotła zaskoczone tłumy. I właśnie ta niemoc zaskoczonego tłumu go zajmuje, ta jego bezradność, ta budząca się pod wpływem konieczności chęć ofiary, czy samoobrony. Kulisy heroizmu go interesują, narodziny bohaterstwa.

I w miarę, jak rozwija ów problem z genesis wysiłku — zatraca się coraz bardziej w nas świadomość, że te wypadki były historyczne, że ci ludzie mieli wolę i cel, że nie walczyli z konieczności, ale że walkę wywołali sami, mężnie i hardo.

Mimo to krytyka nasza artystyczna przyjęła pięknych i świetnych „Ojców Naszych" Struga jako kartę wstępu jego do świątyni Żeromskiego i Micińskiego, bardów Duszy Polskiej, a przecież wszystkiego szukać możemy w Strugu, tylko nie tego, coby kontynuacją było tamtych, jednodźwiękiem z Berentem (Ozimina) a nawet Kadenem (Proch).

Talent Struga szlachetny i czysty, może nam dać jeszcze wiele, ale dlaczego krytyka wmawia w niego rzeczy nieegzystujące, albo dopiero po nim spodziewane? dlaczego nie przestaje lecieć na lep wszystkim pozorom, etykietom, frontispisom — wyczytywać więcej z tytułowej kartki dzieła, z przedmowy, z nazwiska autora nawet, niż z samej książki?!

(C. d. n).

M. DĄBROWSKA.

Miasto przyszłości.

Korespondencja z Londynu.

1.

W północno zachodniej części Londynu, tuż za uroczą pańską dzielnicą Hampstead'u leży równie urocze, a uwagę Polaka stokroć silniej przykuwające Golders Green, część ogromnej dzielnicy przyszłości — Hampstead Garden Suburb. [1]) Jest to jedna z licznych już dziś w Anglji prób rozwiązania współczesnego dramatu wielkiego miasta, drogą tworzenia *miast ogrodów* na zasadach kooperacji.

Do Golders Green wybraliśmy się któregoś popołudnia we troje.

Pogoda jeszcze, jak na Londyn ładna. Mgły niema. Niebo pełne rozmaitych jesiennych chmur i szafirowych niespodzianych wybłysków. Wycieczka zapowiada się obiecująco. Do Golders Green jedzie się ze sródmieścia, Londynu kolejką podziemną około 20 minut lub „bus'em“ pół godziny.

Warunki komunikacji idealne, jak na olbrzymie przestrzenie Londynu.

Dzięki niemu pracownicy i robotnicy City mogą być mieszkańcami uroczego miasta-ogrodu.

Na terenie Golders Green operują cztery Towarzystwa tak zwane: Tenant's Co-partnership Limited. [2]) Towarzystw takich jest dziś w Anglji czternaście, a każde z nich jest już potężną instytucją liczebnie i finansowo.

Zakładają one miasta ogrody *dla swoich* członków pod rozmaitemi miastami Anglji, oraz w Letchworth, najbardziej typowem i pięknem mieście typu ogrodowego.

Prócz tych miasta ogrody zakładane są w Anglji również z inicjatywy kapitałów prywatnych, oraz przez kooperację spożywczą.

Towarzystwa lokatorów (tenants) o których wspomniałam wyżej, mają *formę* towarzystw akcyjnych, ale jeśli chodzi o treść, jest to właśnie kooperacja mieszkaniowa, i to z rodzaju spożywczej.

Z towarzystwami akcyjnemi T. C. L. mają to wspólne, że liczba głosów zależna jest od liczby włożonych udziałów. Różni się zaś od nich tem, że mieszkańcy są zarazem inwestytorami towarzystwa. Towarzystwo nie jest przedsiębiorcą, pracującym dla kogoś, by zbierać zyski. Toworzystwo buduje domy i zakłada ogrody dla swoich własnych członków. Członkowie towarzystwa są swoimi własnymi przedsiębiorcami, i swoimi własnymi lokatorami — — z uniknięciem wszelkich posredników. A jest to właśnie kooperacyjna zasada „sami sobie“. Zasada która pozwala człowiekowi ubogiemu stać się współwłaścicielem ślicznych domów i mieszkań.

2.

Wracam do naszej wycieczki.

Ze stacji kolei podziemnej idziemy długą wesołą ulicą do Biura Towarzystwa, gdzie ma czekać na nas przewodnik. Ulica jest już właściwie, mimo sunącego po niej tramwaju elektrycznego, drogą ślicznej wsi.

Po lewej stronie, tu i tam drzewa pośród łęgów, oszpeconych jeszcze plakatami „to be let“, (do wynajęcia), i „to be sold“, (do sprzedania). Po prawej stronie już majątek towarzystw.

Nad wyraz miłe, na wzór angielskich dworów budowane domy, niskie i zaciszne — kształtu podłużnego, niby polskie szlacheckie sadyby. U ścian oczywiście ogródki. Przystajemy co chwila, zachwyceni wielobarwną inkrustacją kwiatów.

Raz po raz mijamy poprzeczne uliczki, przytykające do utopionego w błękitnawej pylnej mgiełce wzgórza Hampsteadu, będącego olbrzymim parkiem dzielnicy.

Uliczki są wysadzane, rzekłbyś, klejnotami wytwornych, delikatnych, a przecie zupełnie skromnych domków.

Panuje tu wszędzie łagodna, czarująca cisza. Zda się, że życie w tej dzielnicy powołuje napowrót do głosu wszystkie dzwonne skarby dobroci, mądrej pobłażliwości, i hojnej miłości do bliskich i dalekich ludzi, skarby utopione na dnie duszy ludzkiej przez potworny chaos współczesnego miasta.

3.

W Biurze Towarzystwa oczekiwał na nas pan Page, kierownik edukacyjnej strony życia w mieście-ogrodzie. Pan Page jest prosty, łagodnie wesoły, ma twarz pełną sympatycznego wyrazu.

Obdarowuje nas broszurami — poczem przerzuca przez ramię nieodzowny „waterproof“ i wychodzimy na jedną z owych pełnych uśmiechu uliczek.

Zawiązuje się rozmowa wesoła i przyjemna.

— Niech państwo nie patrzą na ogródki. Teraz jesień. Nic tu już niema. Ale w maju, czerwcu i lipcu jest tu naprawdę pięknie.

[1]) Ogrodowe przedmieście Hampsteadu.

[2]) Udziałowe Towarzystwa dzierżawców.

Połykamy gracko cisnące się na usta wyznanie, że w Polsce w najkwiecistsze miesiące roku niema takich kwiatów przed domami miast i przedmieść, i w dalszym ciągu pasiemy się widokiem soczystej trawy, puszystych chryzantemów i figlarnych nasturcji.

— Czy ogródki przed domami utrzymuje Towarzystwo?

— Nie, ogródki przed i za domami pozostawione są pieczy lokatorów. A oni wywiązują się z tego doskonale. Któżby nie dbał o ogrody, gdy niemi „home" można upiększyć i gdy ma się tak doskonałe warunki do ich zakładania.

Wzdycham cicho. W każdym razie u nas niejednokrotnie trzebaby tę prawdę tłomaczyć ludziom.

Pan Page ciągnie dalej:

— Natomiast wszystkie wielkie ogrody, place, parki i instytucje publiczne miasta ogrodu utrzymuje towarzystwo. Ot naprzykład to.

Stanęliśmy właśnie przed olbrzymim, pokrytym kwiatami trawnikiem.

— Czy takich ogrodów, parków i wogóle odkrytych przestrzeni dużo jest w Golders Green?

— Oh, tak. Przestrzeń, powietrze, toć to jest przecie naczelna zasada miast-ogrodów. Chodzi o połączenie dobroczynnych uroków wsi z korzyściami miasta. Zabudowujemy naogół tylko jedną ósmą danej przestrzeni. Podczas, kiedy przeciętna liczba mieszkańców Anglji, na akr wynosi 270 — u nas w miastach-ogrodach osiada tylko 20 do 50 ludzi na jednym akrze. Domów na akr budujemy mniej więcej dwanaście, starając się, aby między jednym i drugim była odpowiednia ilość wolnej przestrzeni. Ludzie w miastach zapomnieli oddychać, wskutek tego tak zastraszająco rozwijają się suchoty i wszelkie choroby piersiowe. Tutaj w miastach-ogrodach przyuczają się biedacy na nowo cenić dobrodziejstwo powietrza.

— A któż podejmuje budowę domów Towarzystwa?

— Samo Tow. posiada w składzie swego zarządu specjalne komitety budowlane, kanalizacyjne, oświetlenia i ogrzewania. Unikamy wkroczenia wszelkich obcych przedsiębiorców na teren towarzystwa. Z dochodów towarzystwa budujemy domy mieszkalne, i gmachy publiczne, zakładamy parki, i place do gry, oświetlamy miasto i domy elektrycznością i t. d. Po opłaceniu tych wszystkich wydatków, oraz procentów od włożonych kapitałów, po odłożeniu kapitałów zapasowych i rezerwowych, jesteśmy jeszcze w stanie dawać członkom dywidendę od płaconego za mieszkanie czynszu. Dywidenda ta wynosi 1 do 2 szylingów na funcie.

— Jest to zasada sklepu współdzielczego?

— That's right!

— Czy każdy z wynajmujących mieszkanie jest inwestytorem Tow.?

— Bezwątpienia. Nie jesteśmy przedsiębiorcami pracującymi dla kogoś z zewnątrz, ale zbiorowością, pracującą sama dla siebie.

— Zdaje mi się jednak, że chodzi przedewszystkiem o przyciągnięcie do miast-ogrodów ludności uboższej, a zwłaszcza robotniczej, na której złe strony życia miejskiego odbijają się najfatalniej. Czy nie sądzi pan, że ludzie ci mogą mieć trudność w zapłaceniu udziału, który w niektórych towarzystwach jest dość wysoki?

— Ułatwiamy im w ten sposób, że wnoszenie udziału rozłożone jest na raty, wynoszące po 6 pensów na tydzień, czyli po dwa szylingi na miesiąc. Na to nawet robotnik zdobyć się może.

— Zwłaszcza angielski, — dodaję z łatwo zrozumiałą zazdrością.

— Najlepszym zaś tej możności dowodem jest fakt, że z każdym rokiem zwiększa się liczba robotników i wogóle ludzi biednych, należących do towarzystwa! — dodaje pan Page. — Zaraz się przekonamy.

Jakoż stoimy właśnie przed dużym kwadratem czerwonych domków. Przez łuk bramy widać obszerny dziedziniec, pełny zieleni i kwiecia.

Nasz uprzejmy przewodnik objaśnia:

— Oto właśnie mamy przed sobą mieszkania, przeznaczone dla ludzi niezamożnych, sędziwych i samotnych, którzy mają bądź jakąś nizką emeryturę, bądź bardzo nikły kapitalik. W zwykłych warunkach cierpieliby oni głód, chłód i niedostatek.

Tutaj, włożywszy swój kapitalik do towarzystwa, żyją w ciszy, w najestetyczniejszem w świecie otoczeniu, a nadwszystko zachowują do ostatnich lat tak drogą każdemu niezależność. Wchodzimy. Na wysokości pierwszego piętra biegnie wesoła słoneczna galerja zewnętrzna.

Z niej widok na kwiaty, na ogród owocowy i oranżerję. A dalej śmieje się gęstwina szczelnej zieleni.

Wesoła i rześka staruszka, pokazała nam z najmilszą w świecie uprzejmością swoje mieszkanie. Jest to dość obszerny pokój z alkową, spiżarką i małą pralnią. Nowoczesns metalowa kuchnia wmurowana jest w ścianę. Schludność czystość, porządek biją w oczy.

Ludzie są tu do tego wprost suggestyjene zmuszani przez estetykę otoczenia zewnętrznego.

(D. n.)

K. WROCZYŃSKI.

Z poza kurtyny.

TYDZIEŃ TEATRALNY.

Ostatni tydzień kończącego się roku rozpoczął nową erę w dziejach Rozmaitości. Rozpoczął narazie formalnie, zewnętrznie, a raczej podkładowo. „Pierwsza scena polska" pieleszami swymi mogąca iść w paragon zaledwie, i to nie z każdym, drugorzędnym teatrem niemieckim, przedsięwzięła wreszcie t. zw. „reformę". Drogą przebudówek, nadbudówek i dobudówek poszerzono i pogłębiono samą scenę, dla zmian dekoracyjnych zastosowano bardzo praktyczny (lepszy od obrotowego) system podłóg przesuwanych, przez parumetrowe przesunięcie proscenium wgłąb zyskano nieco miejsca na samej widowni i wyzyskano je powiększeniem liczby foteli. Jednym słowem, pod ciśnieniem konieczności „rozszerzyły się ściany" jakby gotując przyjęcie dla godnego obramienia przyszłego repertuaru.

Ten jest znak pierwszy, że się „pod koniec ma światu starożytnemu", że się droga na nową fazę załamuje. A znakiem drugim — zmiany w dyrekcji: kierownictwo reżyserskie Solskiego i literackie Grzymały-Siedleckiego. Odtąd w zasadzie wszystko gotowe i nadchodzi moment zwrotu główny: kierunek i zakres repertuarowy.

***

Otwarto sezon naturalnie Fredrą: „Zemstą za mur graniczny". Widowisko poprzedziła mowa programowa kierownika literackiego. Nacechowana naogół tonem umiaru kulturalnego, dźwięczała ona zarazem echami ewolucji sztuki teatralnej idącej, jak do tej pory, poza obrębem „pierwszej sceny polskiej". Po raz pierwszy bodaj padł w Rozmaitościach głośno powiedziany wyraz: inscenizacja, po raz pierwszy stwierdzono jego istnienie w sensie dodatnim.

„Sztuka sceniczna", rzekł p. A. Grzymała-Siedlecki: „w całej Europie przechodzi przez znamienny okres szukania nowych dróg, nowych sposobów reżyserji, wciągnięcia nowych czynników piękna z plastyką na czele. Zarówno w dzisiejszym repertuarze, jak i w sztukach klasycznych stara się doszukać motywu i pozoru (?) do takiego zrealizowania poezji na scenie, by realizacja ta dotarła do najwewnętrzniejszych zamierzeń tekstu".

Znamienne to stwierdzenie powszechnie znanego faktu zobowiązuje już poniekąd teatr z racji swej oficjalności. Dlatego też przypuszczać należy, że klauzula, o której poniżej, jest raczej jeszcze resztką wpływu dotychczasowych bezwładów Rozmaitości, niż zarysem programowym. A brzmi ona: „scena nasza w myśl swoich założeń i tradycji nie może być tą awangardą nowatorstwa, która idzie na posterunki, łączące w sobie poszukiwania z hazardem i nadmiernym eksperymentem; scena ta *stać musi na stanowisku dojrzałego i wypróbowanego piękna*". Wypróbowanego przez kogo? Przez innych? A więc wlec się znów w ogonie?

P. Grzymała-Siedlecki doskonale zrozumiał całą melancholję powyższego frazesu, gdyż rzec można, iż sam obala go następnym już zdaniem: „nie znaczy to aby się (scena nasza) prób zrzekać chciała, aby z nich z góry zrezygnowała; w ogólnym postępie sztuki scenicznej, we wprowadzeniu nowych pojęć i my chcemy być stroną czynną".

Inaczej — rzecz prosta — być nie może i być nie powinno na „pierwszej scenie polskiej" o ile tytuł ten nie ma pozostać czczą a nawet ironiczną ozdobą. Toż cel główny (czemu „główny", — dotykałem już kilkakrotnie w *Prawdzie* na tym miejscu) „Rozmaitości", cel najbliższy, jaki się narazie wprost narzuca to,—wytworzenie ze szczątkowych danych dawnej tradycji pełnego kameralnego stylu scenicznego polskiego. Zaś bez dążeń doń, a więc bez prób i eksperymentów obyć się nie może.

Takim eksperymentem w pełnem tego słowa znaczeniu — t. z. niezupełnie udanym — był właśnie krok pierwszy „rozszerzonej i pogłębionej sceny", była własnie fredrowska „Zemsta za mur graniczny".

***

Dla czego wystawienie „Zemsty" uważam za eksperyment? Na zasadzie słów samejże dyrekcji. W afiszu sztuki widnieje po raz pierwszy orzeczenie tchnące zamiarem inicjatywy: *nowa inscenizacja*. A więc nie *wystawa*, jak zazwyczaj dotąd nazywano przedstawienia sztuk, acz tkwiły w nich nieraz elementy świadomej inscenizacji. A więc nie wystawowa dowolność i przypadkowość, tylko twórczy plastyczny pogląd reżyserji na sztukę, a więc dążność do „realizacji najwewnętrzniejszych zamierzeń tekstu".

Każdy wysiłek twórczy jest w zasadzie eksperymentem, jest nią tedy i „nowa inscenizacja" „Zemsty".

Inna rzecz, że to, co się świadomie robi po raz prerwszy może się nie udać całkowicie lub częściowo, — gdyby było przeciwnie mielibyśmy na każdym kroku same arcydzieła, rodziłby je wysiłek każdy.

To też nie miejmy zbytnio za złe nowej

inscenizacji, że była w dużej części li wystawą, to też puśćmy w niepamięć płoność niektórych stron eksperymentu, chybione kreacje niektórych artystów: pomińmy nieudania a podkreślmy z pełnym uznaniem zasługi i walory świadomie twórczych dyrekcyjnych pierwocin, reżyserskich a dekoratorskich wysiłków, zespołowych i solowych wytężeń.

Najintensywniej twórczy ośrodek sztuki skupił się koło mistrza Rapackiego. Rejent Milczek w kreacji tego artysty wyłaniał szczyty wyobrażalnego stylu fredrowskiego poprzez drogie, magnackie szczątkie dawnej „tradycji“ Rozmaitości. Kreacja Rapackiego wymaga właściwie osobnego studjum, zdaje mi się, że zdefinjowana od dna byłaby busolą w drodze poszukiwań polskiego stylu, — od charakteryzacji, od dykcji, od faktury—do głębinowych psychicznych przejawów typu przez Milczka-Rapackiego: „czas się zatrzymał i odwrócił lica“ ku nam tęskniącym do renenesansu „piękności ginącej w oddali“.

Momentem drugim najdodatniej inscenizacyjnym był pokój rejenta, cechował on tak swego mieszkańca jak skorupa ślimaka, był twórczo-jedynym.

Punkt trzeci to — Dyndalski Solskiego, typ utworzony z olbrzymią maestrją, z dużem wyczuciem rodzajowości.

Zresztą uznać należy szczęśliwie dosięgnięty poziom w kreacji Wacława-Osterwy.

Pozostałe strony nowej inscenizacji „Zemsty“, niestety, „są — milczenieniem“.

DEUCALJON.

Z lotu ptaka.

DZIENNIK IMPRESJONISTY.

24 grudnia.

Księżyc, wypędzony zbyt wcześnie na krawędzie nieba — oto wrażenie wieczoru w tym dniu wietrznym i pogodnym. Ciemne, niemal czarne chmury, porozrywane w kawały, zostały jednak na niebie jakby na to, aby księżyc miał przez co się przedzierać, przesuwać i rozkrawać szare nawały, obrzucając brzegi wyrw światłem żółtawym, tworząc niby krawędzie krateru, osypane warstwą siarki. Cóż on robi, ten księżyc, w swej wędrówce bezładnej nad miastem? Cóż to za błąkanie się bezcelowe przy poświstach wiatru i obojętności tłumów, które nie widzą, jak tarcza księżycowa leci zdyszana przez obłoki. Nad kościołem Karmelitów wyjrzał zza dachu raz jeszcze, niezmiernie lśniący — niby obiecująca szczęście złocista, rozjarzona aureola.

25 grudnia.

Dla 90% ludzi jasna logiczność jest najzupełniej niedostępna, a idea surowej sprawiedliwości — zdumiewająco obojętna.

26 grudnia.

Moja radość nie dociąga do wieczoru. Zmierzchem bywam smutny.

27 grudnia.

Życie!
Zbyt wielka to męka
Czuć nicość dnia i słońca nudę!
Więc, aby ulżyć męczarni,
Nastaje noc —
Pogrąża umysł i serce w marzeniu:
Sennemu oku lśni gwiazd pierścieniem
wieczystym!

28 grudnia.

Co najbardziej wyraża obłęd i grozę nieszczęścia? Oko — ten organ, którym dotykamy gwiazd i nieśmiertelności. Z jasnego i śpiewającego w noc jedną staje się gorączkowym, zmęczonym, nieprzytomnym, krzyczącym czerwono — z rozwianym włosem! Miewa ciężar ołowiu i wyszczerzone zęby potępieńca.

29 grudnia.

Poznałem lady No-tak-ale-nie. Cały dzień spędziłem w jej posiadłościach. Jej wielki dom stoi w parku. Jest nieco ponury, bo pomalowany na kolor ciemno-szafirowy (!). Ogromne wazy z czystego złota stoją na konsolach marmurowych. Są piękne, lśniące i bezpożyteczne. Odbijają w zwierciadłach. Cisza w pokojach. Służba w miękkim obuwiu milczy.

Tylko lady No-tak-ale-nie śmieje się czasem dźwięcznie. Jest bardzo skromna, ale, jeśli ujrzy w oczach moich (czy tylko moich?) pochwałę skromności, będzie bezwstydną. Niema sumienia. Nie rozumie grzechu. Nie rozumie cnoty. Nie rozumie nic. Jest wszystkiem. Jest wszystkiem w wysokim stopniu — formy. Jej tęsknota urywa się nagle. Jej ciekawość może upaść lub wzrosnąć wyżej, niż księżyc nad topolami parku. Myśli metalowo i logicznie. Bywa obłąkaną. Może jest nią zawsze?

30 grudnia.

Księżyc jest moim przyjacielem:
Księżyc był ponade mną, był we mnie i wszędzie,
Lał się złotą kaskadą na dachów krawędzie,
Wędrowcowi ciemności rozświecał uczynny.
Lśnił, jak całus kradziony, na wygięciu rynny,
Połyskiwał jak szczęście w archiwum schowane,
Złotym rogiem odgarniał białą chmurek pianę.

Książki nadesłane do Redakcji.

Antoni Sikorski: «Baletnice. — Śpiew łabędzi. — W nocnej kawiarni». — Warszawa, 1913 r. Skład główny w księg. M. Arcta. Str. 99.

Shakespeare: «Sonety» I—CXXXIV i CXXXVII — CLIV. Tłomaczył Mus. Kraków 1913 r. G. Gebethner i S-ka Str. 166.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 2-ej do 3-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ofiary.

Na Kruszynek: W. Keppe z Łodzi kop. 50.

Na Bratne: Wiktor Strzembosz z Sosnowca rb. 3.

Zarządowi Kursów Naukowych jako 1-a rata pożyczki na budowę własnego gmachu: Wiktor Strzembosz z Sosnowca rb. 3.

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE.

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

Z drugiej zaś s rony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA" (JODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.


Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyriny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę" Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODYRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal".

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.